

Edward Kacmarek

Dwa światy Antoniego Płoszaja

Antoni Płoszaj szedł tamtego dnia do pracy zupełnie inaczej. Tak zupełnie inaczej, że stało się to powodem kolosalnych zmian w jego życiu. Zwykle bardzo się śpieszył: wrzucał w pośpiechu do torby przygotowane przez żonę kanapki, ustawiał termos z gorącą herbatą i mruczając przy drzwiach „pa, kochanie”, szybko zbiegał ze schodów. Mówił temu i owemu z klatki - dzień dobry - i już pędził chodnikiem. Kilka minut czekał na przystanku autobusowym, następnie wciśnięty między stojących ciasno ludzi, usiłował przez piętnaście minut utrzymać równowagę i spokój wewnętrzny. Gdy w nozdrza Antoniego bił gęsty zapach mokrego sukna, przepoconej bielizny, gdy na jego kurtce prószył łupież współpasażera, gdy przeciskający się targali torbę i deptali jego lekkie buciki, myślał ze złością, jak idiotycznie jest urządzony świat, na którym przypadło mu żyć. Myślał również, że powinien zdecydować się na zmianę pracy, a nawet na jeszcze poważniejsze zmiany w swoim życiu. Takie nachodziły go myśli, gdy się bardzo śpieszył do pracy z obawą, że nie zdąży na czas.

Ale tamtego dnia szedł do pracy zupełnie inaczej. a wszystko, co się później wydarzy, stało się przez źle nastawiony budzik. Z łóżka, jak zwykle, wygramolił się pełen urazów do świata i do żony.

- Znowu otworzyłaś okno? - skarcił żonę krzątającą się w kuchni przy śniadaniu.
- W twoim pokoju zaduch nie do wytrzymania! - odskrzyknęła z kuchni.
- Będę znowu kichał jak najęty.
- Zrób kilka przysiadów, to się rozgrzejesz!
- Ty sobie przysiadaj - mruknął rozdrażniony.

Spojrzał w lustro. Pociągnął palcem po policzku i pomyślał, że pozostało mu jeszcze pięć lat do emerytury.

„Jeszcze pięć razy otworzę szampana w noc sylwestrową i już będę na emeryturze” - tak właśnie myślał codziennie, stojąc przed lustrem w łazience. Jednocześnie spostrzegł, że jest jakoś dziwnie niewyspany. Niby spał całą noc jak wszystkie poprzednie a jednak więcej ziewał i myślał z większą złością o oczekującym go autobusie.

- Pośpiesz się, bo spóźnisz się do pracy! - ponaglała z kuchni żona.

Dopiero na chodniku spostrzegł pomyłkę budzika - puste ulice. Cofnął się, by wrócić do domu, ale

w klatce schodowej zmienił nagle zamiar. Postanowił iść pieszo do zakładu. Marcowy poranek: ciepły, wilgotny. Szedł więc wolniutko i przyglądał się fasadom mijanych kamienic, gdy na jednej, nad ciężkim balkonem, zobaczył leżącego lwa, zdziwił się niepomniernie, że dopiero teraz go zauważył. „Tysiące razy, a może i więcej, przechodziłem obok tego domu - myślał - i nie zauważyłem tego wielkiego zwierzaka nad balkonem”.

Zaczął się dokładnie rozglądać dookoła, Antoni pracownik wielkiego kombinatu. „O dziwo! - myślał - ileż to ja ciekawych rzeczy przeoczyłem przez te lata”. A teraz ujrzał nagle tyle szczegółów: śpiące gołębie na gzymsach, smocze łby na rynnach, strome dachy kryte czerwoną dachówką, balkony oparte ciężko na plecach pochylonych ateistów, kosze gipsowych kwiatów i poczerńiałe luki nad oknami. I zaczął Antoni iść uroczystą, ważniejszą, jak wynalazca, który już wie, że zbliża się moment olśnienia. Patrzył na wszystko jakby po raz pierwszy widział, jakby z innej planety wylądował na tej ulicy, którą chodził przecież tyle lat do pracy. Podziwiał płaszcz przechodniów, kapelusze, teczki. Kobietom zaglądał w oczy i myślał o nich z rozzuleniem. Na jednej ulicy szczególnie uważnie przyglądał się bucikom dziewcząt. Na drugiej ulicy wyszukiwał pięknie uczesane głowy. Na następnej znów przyglądał się tym, którzy prowadzili pieski na smyczy i myślał o dziwnej przyjaźni człowieka z psem.

Wreszcie wschód słońca: jeszcze schowane za dachami kamienic, a już wymalowało jaśniejszymi kolorami część nieba, obłoki płynące i gwiazdy ostatnie w pośpiechu wymazywało. Teraz powinien dopiero wstawać. Bardzo się cieszył, że ma to już za sobą, że jeszcze może iść powoli dowolnie wybranymi ulicami. Postanowił iść inaczej, nie tak bezmyślnie, jak to czynił dotąd. Zapragnął nagle obmyśleć różne ciekawe zdarzenia. Gdy więc ujrzał szczura kręcącego się pracowicie przy pojemniku na śmieci, nie pomyślał o nim z obrzydzeniem. Pomyślał odwrotnie: nędzny jest żywot szczura. Pewnie nikt nie zgodziłby się dobrowolnie na to, aby po śmierci zamieszkać w obrzydliwej powłoce szczura i grzebać w śmietnikach. Nawet stary Aleksy, który całe dorosłe życie śmieci wywozi, marzy pewnie, aby po śmierci zostać motylkiem albo rekinem. Zresztą, któż to wie, co się staremu śmieciarzowi marzy?

Przypiął więc Antoni szczurkowi - bo tak go zdrobniale w myślach nazwał - piękne kolorowe skrzydła. Zachwycony tym szczurek wznosił się wysoko ponad dachy kamienic i zaczął śpiewać. A śpiew pierwszego latającego szczurka był przedziwny. Opowiadał w swojej radosnej piosence, jak pięknie wygląda wschodzące słońce i jak okrutny jest żywot tych, których los związał ze śmietnikiem. I leciał coraz wyżej, i coraz piękniej śpiewał, jakby w tym pierwszym

locie i śpiewie chciał odzyskać wszystko to, co stracił przez lata nerwowego człogania się wokół śmietników.

Zerknął Antoni na zegarek i z zadowoleniem pomyślał, że ma jeszcze sporo czasu. Właśnie pędziłby na przystanek i nerwowo oczekiwał na autobus. Ale dzisiaj nie musi się tłoczyć w autobusie. Idzie sobie i ulepsza wszystko co tylko napotka niedoskonałego. Oto wrona szarpie twardą skórę chyba. Jedną nóżką przydepnęła skórę, drugą usiłuje utrzymać równowagę. „Przydałaby się wronie para małych pazurków - myśli Antoni. - Takich pazurków, jakie posiadają wiewiórki. Nie przeszkadzałyby w locie a bardzo pomogły”. I już wrona ma pazurki. Chwyta nimi skórę chleba i w postawie pełnej godności zjada. Cieszy się wrona z tego udoskonalenia. Pozostało jeszcze jej ponure krakanie, więc Antoni obmyślił, aby zastąpić je melodyjnym gwizdaniem. Pofrunęła wrona na wierzchołek wysokiego kasztana i gwizdnęła tak pięknie, że wszyscy, którzy ją usłyszeli, pomyśleli o tym samym: życie na ziemi jest naprawdę piękną przygodą. Właściwie to tylko nieliczni słyszeli melodyjne pogwizdy wrony, po prostu bardzo się spieszyli i mieli co innego w głowie. Zrozumiał Antoni, jak to z ludźmi jest. Przez chwilę, pogrążony w smutku, dziwił się, patrząc na rozpędzoną lawinę samochodów. W skupieniu, w nerwach, w jazgocie silników, pisku opon krążyły dookoła wielkiego placu jakby pogrążone w transie. Widział zza szyb twarze mężczyzn, kobiet, dzieci. Z goryczą myślał: „Patrząc nieustannie przed siebie, nigdy nie zobaczają latającego szurka i nigdy nie usłyszą jego śpiewu.

Po pracy Antoni wracał do domu również inaczej. Oglądał ulice poplamione bajorami kałuż i pomalowane rażącym blaskiem marcowego słońca. I tak jak to rankiem czynił, obmyślał, rozglądając się bacznie dookoła, różne ulepszenia. Gdy wrócił do domu, znacznie później niż zwykle, żona z drzeniem serca oczekiwała, kiedy zacznie jej wymyślać za wcześniejsze przebudzenie. Ale Antoni nawet nawet jednym słowem nie pisał na ten temat. Tak więc w milczeniu pozostała sprawa tego dziwnego dnia, w którym Antoni ujrzał świat zupełnie inaczej.

Wieczorem Antoni miał w zwyczaju troszkę poczytać. Od tamtego dnia zabrał się za szkicowanie. Wszystko, co widział i przemyślał w ciągu dnia, próbował przenieść na papier. Namalował stadko wróbli w stalowych pancierzach, swobodnie i bezpiecznie zbierających ziarenka między wielkimi kołami pędzących samochodów. Namalował też wielką kamienicę z balkonami, a na każdym z nich umieścił egzotyczne zwierzę. Zwierzęta spoglądały na ulicę, na śpieszących do pracy ludzi. Gdy układał się do snu, popatrzył na swoje rysunki i chociaż nie był z nich zadowolony, po raz pierwszy w życiu był szczęśliwy. Z radości pomyślał o jutrzejszym dniu. Budzik nastawił na wcześniejszą

godzinę. Kładąc się do łóżka z niecierpliwością oczekiwał przebudzenia.

Wiezorami, na kartkach papieru, szkicował marzenia. Czasem wiele godzin śleczął nad fragmentem skrzydełka lub szurka albo nad położeniem lwiego ogona, gdy ten skrada się za ofiarą. Ponieważ kojarzył mechanizmy z żywymi organizmami, zastanawiał się nad różnymi sposobami łączenia metalu z ciałem. Dobrał barwy, proporcje, podglądał w albumach dzieła dawnych mistrzów. w tajemnicy przed żoną kupował odpowiedni papier, płótno, farby, pędzelki i potrzebne książki.

Malował coraz więcej i coraz więcej czytał o malowaniu. Zdumiony spostrzegł, że stanął przed oceanem możliwości, że zrobił zaledwie jeden krok ku doskonałości. Nie pogrążyła Antoniego w rozpaczny myśl, że kresu tej wiedzy nie dojdzie. „To i lepiej - powiedział sobie - przynajmniej będę zawsze w drodze”. Zajęty rozwiązywaniem coraz to innych pomysłów, nie zauważał zmartwionej miny żony. Od dawna znała jego tajemnice, tylko nie bardzo wiedziała, od czego zacząć rozmowę, żeby męża nie urazić.

- Co Ty tam ciągle malujesz po nocach? - zaczynała nie jeden raz.

- Tak sobie maluję z długiej chwili - odpowiadał Antoni i nie dorzucał nawet jednego słowa więcej.

- Dziwne potworki malujesz, strach na to patrzeć!

- usiłowała podtrzymać temat.

- Strach nie strach - filozofował Antoni. - Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Z wielką niechęcią słuchała tej gadaniny żona Antoniego.

- Ostatnio jest taki zbuntowany - żaliła się córce. - Gdy patrzę ukradkiem na niego, jak obmyśla szczegóły tych potworków, widzę jego dziwne szczęście. Cieszy się jak dzieciak. Ale dotknąć tych spraw nie mogę, bo się złości.

Nie wpadło Płoszajowej nigdy do głowy, że źle widzi sprawę męża. Nie wpadło też nigdy sąsiadom i krewnym do głowy, że Antoni, ślusarz pracujący całe życie przy maszynach parowych, znalazł wreszcie obszar pięknego szczęścia.

- Wstaje raniutko i pieszo idzie do zakładu, chociaż autobus ma pod nosem - dziwili się sąsiedzi. - Na ulicy rozgląda się po kamienicach albo gapi się na skaczące wróble. Raz, w parku, rzucił małe kamyczki do dużej kałuży i przyglądał się falującej wodzie! Stoi przy rondzie i gapi się na pędzące samochody, jakby je liczył.

Znalazło się sporo powodów, żeby kończący rozmowę na temat dziwactw Antoniego mógł porozumiewawczo mrugnąć. Niektórzy nawet wulgarnie pogwizdywali, mrużąc prawe oko, co oznaczało, że z Antonim jest już bardzo źle. Nawet dalecy krewni, którzy odwiedzali Płoszajów od wielkiego dzwonu,

teraz pojawiali się częściej z garściami pełnymi rad. Wysłuchiwali z zadumą opowieści Poszajowej, kiwali poważnie głowami a żegnając się, pocieszali głosem pełnym współczucia:

- Biedna Marto, musisz znaleźć w sobie dość dużo siły i cierpliwie znieść nieszczęście, które tak nagle na ciebie spadło.

Płoszajowa próbowała jeszcze z innej beczki:

- Ostatnio - zaczynała bardzo łagodnie - wydajesz sporo pieniędzy na papier, płótno, pędzelki i farby!

- Dlaczego wymawiasz mi te drobne wydatki? - bronił się Antoni. - Nie piję wódki, nie palę, nie mamy samochodu, nie jeździmy na wczasy, nie kupuję drogich kołowrotek do szczupakówek...

- Głupio zrobiło się Płoszajowej, że na skąpą babę wygląda, jak te chytre, co to z męża wyciskają wszystkie grosze. Zaczęła więc otwarcie w te słowa:

- Nie tyle o pieniądze chodzi, ile o te potworki. Powiedziałabym, że to co robisz, jest trochę jakby nienormalne.

Antoni wstał, oczy zapłonęły mu ogniem, zmarszczył czoło gniewnie i mówił tak ostro, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Gdybym wysiadywał całymi dniami nad rzeką i patrzył w spławik, gdybym stał godzinami przy kiosku z kufelkiem piwa i gadał, co ślina na język przyniesie, gdybym wreszcie wieczorami na najrozmaitszych zebraniach i naradach wysiadywał, byłbym normalnym, ale przez to, że maluję i mam własny styl i poglądy jestem nienormalny? Jesteś pewna, że twoje życie biegnie normalnie? Słuchasz gadania rodziny i wierzysz święcie w to, co mówią. Siedzą twoi bracia na małych urzędniczych zydelkach i sądzą, że posiadli szczyty szczęścia, inna droga jest dla nich nienormalna. Nie znoszą ślusarza z własnym zdaniem. Czyż nie mówili, że oszalałaś, wychodząc za mnie?

Po tej próbie unikała rozmów na temat malowania potworków, jak diabeł unika wody święconej.

Pewnego dnia, za namową sąsiadów i krewnych, udała się Płoszajowa do specjalisty. i właśnie w tym najgroźniejszym momencie przypadek okazał się dla Antoniego niezwykle łaskawy. Opowiedziała Płoszajowa bardzo dokładnie, jak i co jest z jej mężem. Specjalista wypytał dociekliwie o różne szczegóły malowania potworków. Następnie pytał o drobiazgi z życia Antoniego, na przykład czy przypadkowo w dzieciństwie nie spadł ze schodów.

- Żeby obraz choroby zupełnie wyklarować - powiedział - dostarczy pani kilka malowideł. Będę mógł wówczas dokładnie określić, co dolega pacjentowi.

Specjalista długo oglądał przyniesione obrazy. zaskoczony grą barw i dziwnym światem ludzi żyjących w nieustannych pośpiechu, zadumał się głęboko. Ki-

wał głową, a potem, jakby zapomniawszy o siedzącej naprzeciw Płoszajowej, powtarzał kilka razy:

- Dziwne! Straszne! Ciekawe!

- Straszne, prawda? - podchwyciła Poszajowa.

I wtedy właśnie wsunęła do gabinetu głowę żona specjalisty. Stała tak naprzeciw obrazków Antoniego, jakby ujrzawszy nagle coś, o czym często myślała, a czego nie potrafiła dotychczas ująć w odpowiednie słowa.

- Pokaże to Akademikowi - zwróciła się do Płoszajowej.

Miał Antoni szczęśliwy los przypisany. Zanim wielka, rwąca rzeka przelała swoją wodę do źródła aż po ujście, Płoszajowa kończyła teraz zazwyczaj swoje opowieści o przypadkach swojego męża tymi słowami:

- Z ciekawym człowiekiem, moja pani, to takie wielkie nieporozumienie, prawie jak z wariatem, dopiero specjaliści mogą rozstrzygnąć, jak to naprawdę jest. Bo widzi pani, wystawę mojemu Antoniemu zorganizowali i parę obrazów sprzedał. Znaczący artysta!